

R E L A C J A

p. Tadeusza Studniarskiego

nagrana 4.10.91 w Międzylesiu k/Warszawy przez Tomasza Gleba
wersja zredagowana

Byłem aresztowany chyba 19 lutego 1945 roku po przyjsciu frontu sowieckiego. Wcześniej, po Powstaniu Warszawskim znalazłem się na zachodnich terenach Polski, tam zastał mnie front. Front przeszedł, ja się zgłosiłem do *kontrrazwiedki* ruskiej. Młody chłopak, przepojony patriotyzmem, chęcią w jakimś jeszcze stopniu rozliczenia się do końca z okupantem - tam było dużo młodych Polaków, chętni byliśmy iść na front. Prosiłiśmy, żeby nas odesłali do jednostek polskich, że chcemy walczyć. Ale oni od razu przystąpili: "A kto wy? A co wy?". I: ach, AK, a więc partyzantka /bo ja i w partyzantce byłem/, Powstanie Warszawskie, no to przeciwko Związkowi Radzieckiemu, "zatrzymaliście front, wyscie występowali przeciw nam"...

- A co robiłeś, jak byłeś młody?

- Byłem harcerzem.

Uważałem, że wszystko to, co powiem prawdziwego, będzie służyło na moją korzyść. Wszyscy pozostali koledzy też tak na ogół myśleli. Okazało się, że działaliśmy na swoją niekorzyść. Stworzono materiały, to było bardzo szybko - po około dwóch tygodniach już mieli materiały. Pod sąd wszystkich - Wojenny Trybunał.

- Gdzie to się działo?

To było w Świeciu n/Wisłą.

Dostałem dychę. Młody chłopak, 19 lat... Sądzone tam dużo osób, większość to byli chłopcy z AK. Różne wyroki odczytywali: 10 lat, 15 lat, katorgi jakies, dożywocia...

- Czy były wyroki śmierci?

Chyba nie.

W Świeciu siedziałem niedługo, może dwa-trzy tygodnie. Stamtąd samochodami przewieźli nas do Działdowa. Tam krótko byliśmy, od razu nas załadowali na pociąg i do więzienia w

Grodnie. Ciężkie, duże więzienie, wyroki tam wykonywali...

- Czy w czasie Pana pobytu wykonywano jakieś wyroki?

Mówiło się. Bez nazwisk, jeszcze nie byli ludzie ze sobą tak mocno związani.

Zwalili nas do jednej celi - była tam taka 58 *kamera* - ok. tysiąc ludzi. Tysiąc to może przesadzam, w każdym bądź razie tak gęsto siedzieliśmy, że nie można było się położyć. Trzeba było kłaść się na zmianę albo spać w kucki, dosłownie. W kucki to ręce drętwiały, nogi drętwiały. To było coś okropnego, wynosili ludzi, którzy tracili przytomność. Spaliśmy na betonie, na tym, co człowiek miał swojego, nic nie dawali absolutnie. Ale jakoś to przeżyliśmy...

W tej 58 *kamerze* byłem chyba trzy dni. Mnie się tak wyjątkowo udawało - dostałem się do takiej gospodarczej brygady. Ściągnęli mnie tam koledzy z AK z Lidy, z Wileńszczyzny. Młody chłopak, miałem łatwość kontaktu ze wszystkimi, no i przy okazji ściągnęli oni mnie.

Pracowałem w tej brygadzie jako ślusarz i już byłem w oddzielnej celi, takiej "roboczej", tylko dla pracowników. Miałem kontakt z niektórymi kolegami: a to zamek, a to kratkę, trzeba było coś zrobić, naprawić, np. elektryczność. Za wszystko się brałem, zresztą chodziłem do mechanicznego gimnazjum im. Konarskiego, więc miałem i trochę wiadomości, i trochę drygu w tym kierunku. I to mi trochę ułatwiło życie.

Koledzy, którzy ze mną byli, wileńszczacy, oni dostawali paczki co jakiś czas, tak że udało mi się i coś z tego korzystałem. Szczególnie od takiego kowala z Grodna, starszego faceta. Jak on się nazywał? Krótko z nim byłem, on tam jeszcze został, a nas już zabrali.

W Grodnie byłem jakieś trzy miesiące. Zabrali nas stamtąd chyba w końcu czerwca, nie pamiętam dokładnie daty. Porozdzielali nas po celach, były komisje lekarskie, przeliczenia, wszędzie sprawdzali wyroki, i zabrali.

Swińskimi wagonami wieźli nas do Orszy na Białorusi, do więzienia w Orszy. Tam udało mi się dostać do brygady sanitarnej. Chodziliśmy z kosami kosić trawę komosę na zupy. Te zupy wyglądały tak: stare kartofle posiekane razem z obierkami, do tego trawa. Taką *batandą* karmili wszystkich.

Śmiertelność była bardzo duża. Ja osobiście nosiłem na takich noszach do takiej pośmiertnej celi. To pamiętam, to było bardzo tragiczne dla mnie. Co rano się chodziło, zbierało, jak ktoś umarł, wrzucało na kupę. Pamiętam, był taki okres, że cała kupa była tych nieboszczyków rozebranych do naga. Bardzo dużo Mołdawian, Rumunów, Rosjan z tych krajów wschodnich, kałmuków różnych. Oni jakos byli mniej odporni.

W Orszy byliśmy do czasu, aż przyjechała komisja. Dzielili już na poszczególne obozy. Nie wiem którego to było dokładnie, ale to można byłoby obliczyć: jeśli w czerwcu wyjechaliśmy z Grodna, miesiąc byliśmy w samej Orszy - to był koniec lipca.

Potem przewieziono nas do Archangielska. Etapy były najtragiczniejsze, najgorsze do przeżycia. Nie przejmowano się nami, tyle, że nas liczone dwa razy dziennie, rano i wieczorem w wagonach, raz na dzień dawano coś do picia, jakąś *batandę*. każdy jadł w tym, co miał. Widziałem, jak w naszym wagonie jeden Mołdawianin (on później chyba umarł) miał wojskowy szynel (on w wojsku był i przestrzelił sobie rękę, dużo było takich *samostrielów*), to dosłownie w ten szynel mu nalewali. Rozbierali przez całą trasę gdzie się tylko dało. Byłem ze trzy razy rozbierany - gdy dotarłem do Norylska, to na gołym ciele miałem fufajkę, stare spodnie i jakieś dwa kalosze, potem jeden zgubiłem. To się wprost nie da opowiedzieć, jak to wyglądało.

Każdy wagon miał takie pomościki, na których byli strażnicy. Każdy wagon był chroniony, nie było szans ucieczki.

- A czy słyszał Pan o takiej ucieczce: brat Anny Drab uciekał z transportu, uciekała cała grupa więźniów z transportu do Archangielska?

Nie słyszałem o tym.

Później tragiczny był przejazd statkiem. Statek nazywał się "Archangielsk", pamiętam bardzo dobrze. To był angielski statek. Załadowali nas do *trumy*, tak się nazywały te ładownie, tam były pobudowane piętrowe nary. Dawali do jedzenia śledzie, słoną zupę z soi i 200 gram wody na cały dzień. To była tragiczna historia... Ale my - kilku chłopaków z

Powstania - zaczęliśmy nucić sobie powstańcze piosenki, i zainteresował się nami starosta. Bo czy to w wagonie, czy na statku wybierali starszych i oni byli dysponentami twego życia w tym okresie. Na ogół byli to przestępcy kryminalni, Rosjanie przeważnie, albo z frontu gwałciciele jacyś, łobuzy, dranie, rabusie. Oni byli władcami życia i śmierci. Dopuszczali się przeróżnych rzeczy, nawet złote zęby wyjmowali, jeśli zauważyli u kogoś. I oni się nami zainteresowali, kazali nam śpiewać. I śpiewaliśmy później głośno. Dawali nam więcej wody do picia.

- Kto tam jeszcze był z Pana kolegów?

Był tam Tadek Żurański i Lewandowski Wojtek, byliśmy tam we trzech. Z Lewandowskim byliśmy razem w Kampinosie w partyzantce i w czasie powstania. Tadek ciężko się rozchorował, dostał choroby morskiej. Nie mógł jeść, ale jakoś się szczęśliwie złożyło, dostawaliśmy trochę więcej wody. Ruscy się z nami trochę liczyli, że powstańcy warszawscy, jeden mówił, że był w Warszawie...

Płynęliśmy jedenaście dni. W Dudzinie wylądowaliśmy 6-9 sierpnia. Już zaczął padać śnieg z deszczem. Wylądowali nas na takie barże po węglu i na brzeg. Na tym brzegu nas trzymali jakiś czas, potem zładowali do takich baraków przesylnych, deska od deski trzy centymetry. W nocy już poszedł śnieg, mróz, zawieja. Tam ludzie też pozostawali, nie wytrzymywali tego. Nam jakoś się udało.

Później przewiezli nas do Norylska. Tyle pamiętam, że wieźli nas w otwartych wagonikach tej wąskotorówki, około 120 km. Wieźli nas bez żadnego przykrycia, śnieg padał na łeb. Jak dowieźli, to wyrzucali nas prawie z tego wagonu, bo to zdrętwiali, chorzy, zmaltretowani ludzie...

Tam rozdzielali na poszczególne obozy. Zostałem rozdzielony od kolegów i dostałem się do obozu chyba najwyższej położonego w Norylsku, na wzgórzu - obóz Zapadnaja. To był obóz ogólny i kopalnia węgla, jej nazwa też Zapadnaja. Z obozu do kopalni był jakiś kilometr.

- czy było to w rejonie Szmitychy czy w drugą stronę?

To było raczej chyba na zachód. Jak się stamtąd patrzyło w dół, to było widać Kajerkan, było widać ten obóz na dole.

Szczególnie wieczorem były dobrze widoczne jego światła. Tam niedaleko była elektrownia, też było ją widać. A my byliśmy na samym szczycie.

To było bardzo ważne, to w zasadzie zaważyło o moim losie - komisja zakwalifikowała mnie do tzw. słabosilnych, tzn. ludzi, którzy nie byli sprawni do pracy. Na wagę stawiali, ledwo się już na nogach trzymałem po tych wszystkich przejściach. Ważyłem 40 kilogramów, może i tego nie. Położyli mnie na 30 dni.

To nie był szpital, tylko taki *domoddech* obozowy. Tam się trochę podreperowałem. Myśmy stamtąd nie wychodzili, tylko w bieliźnie leżeliśmy na tej *słabosiłce*. Jak się już możliwie czułem, przyszedł, pamiętam, naczelnik *sanczaści* i zapytał, kto się zna na elektryce, na ślusarce? Leżałem blisko drzwi:

- Ja się znam - powiedziałem.

Też mu wpadłem w oko. Mówi

- Ja cię zabiorę, bo w szpitalu trzeba trochę napraw zrobić.

Zabrał mnie i ja tam pozostałem.

- To było zaraz po przyjeździe?

Tak, to było po przyjeździe. I ja w tym szpitalu na różnych profesjach pracowałem. Zacząłem od sanitariusza, później, ponieważ znałem łacinę, akurat zabrakło aptekarza, dostałem się do apteki. Tam mnie trochę nauczyli masażu, byłem masażystą w tej aptece, jednocześnie wydawałem lekarstwa.

Później byłem nawet asystentem chirurga, a chirurgiem był sanitariusz radziecki z wojska, po jakimś kursie. Chłopak Modin się nazywał. Młody chłopak, energiczny, sprytny, bardzo się dziwiłem bo bardzo dużo książek czytał. Jak Syrkisjan - to był naczelnik, on był chirurgiem - odszedł na wolność, to wtedy Modin pozostał w tym gabinecie. Wziął mnie na swojego asystenta, pomagałem przy operacjach, amputacji kończyn. Drobne amputacje wykonywaliśmy na miejscu, a na większe - jakies odmrożenia całych nóg, czy jakies operacje wewnętrzne - to do szpitala miejskiego, *bolnicy* do Norylska odwoziliśmy.

No i tam pracowałem w tym szpitalu, pomagałem swoim Polakom. Poznałem dużo, tam poznałem księdza Ciszka, nie wiem czy pan już o nim słyszał. To był taki mój wielki przyjaciel,

tam go właśnie poznałem na Zapadnej. On mnie zaczął uczyć angielskiego, tak się zbliżyliśmy do siebie. On pracował cały czas na robotach ogólnych, *obszczych*. Pracował też w kopalni.

Ja proszę pana pomagałem, tam były i kobiety w tym obozie. Jak ludzie umierali, to zostawało jedzenie, a ponieważ ja rozwoziłem posiłki, to talony, co zostawały po nieboszczykach, rozdawałem. Wieczorem chłopaki przychodzili to każdemu w bańkę coś dawałem. No i drapnęli mnie na tym.

Złapali mnie i wsadzili do karnej brygady, na miesiąc. Tam na Zapadnej. To była dla mnie tragedia, ta karna brygada. To było coś najgorszego, co tam przeżyłem w ogóle. Wyprowadzali nas na roboty - na szczycie tej góry budowali linię kolejową. Kamieniółomy jak gdyby, nawet nie jestem sobie w stanie przypomnieć. My te kamienie przerzucaliśmy, a ponieważ to było prawie na samym szczycie, to dmuchało... Normalne brygady, kiedy mróz był poniżej -25 stopni, nie pracowały na zewnątrz, dzień był *aktirowany*. Karne brygady do -31 stopni wypędzali do roboty. Pamiętam, przy ognisku czasami się ludzie grzeli, bo pozwalali rozpalić ognisko i do roboty. Jak się kręcił, kręcił, przy ognisku rozgrzał, tu tam z tyłu było zimno; jak się odwrócił, to tu się ten śnieg rozpuścił.

Ze mną była podobna historia, już też nie miałem siły... Nie byłem cały miesiąc, jakieś półtora tygodnia byłem. Było mi już wtedy wszystko jedno. Dostałem dechą parę razy od brygadzysty, już się nie ruszyłem przy tym ogniu, prawie że zamarziłem na kość. Paru ludzi zatargało mnie takiego półprzytomnego do obozu. Znów dostałem się do szpitala, jako pacjent, ale ci lekarze obgadali to jakoś z tym naczelnikiem buru i już do karnej brygady nie wróciłem, kary nie odsiedziałem.

- Ale czy będąc w brygadzie karnej Pan nocował w BUR-ze?

- W BUR-ze. To był mały baraczek na odludziu, ogrodzony drutem. Były tam małe cele, siedziało nas po trzech, czterech nas w kucki.

Naczelnik obozu nie pozwolił, żebym pracował w szpitalu, ale oni jakoś załatwili i znalazło się miejsce w punkcie sanitarnym przy kopalni. Tak, że nie poszedłem od razu do kopalni, tylko na tym punkcie pracowałem jakiś czas.

Udzielalem pierwszej pomocy ofiarom z kopalni. Jesli byl zabity, to sporzadzalem ten akt, pakowalismy jego w worki, wypelnialo sie tzw. metke.

- Co bylo na tej metce?

Tam bylo imie, nazwisko i numer.

- Narodowosci nie?

Imie i nazwisko bylo, pozniej ja to wpisywalem w ksiazke u siebie w punkcie. Narodowosc byla w ksiazce. Jesli byla smiertelna ofiara, byl zgon, to przyjezdziel z obozu tzw. *nariadczik* - jeden z tych, co pracowali w biurze obozowym, z taka karta wiezni. Z tego spisywalismy na metke, przywiazywalo sie to do tego worka i facet poszedl.

- Czy wpisywano prawdziwa przyczyne smierci?

Chyba nie.... Wpisywalo sie, ze zginal w kopalni. Natomiast nie wpisywalo sie nic, jesli umieral w szpitalu. Podobno wtedy te akta szly do centralnego szpitala, do centralnej *bolnicy*. Mieli tam cala kartoteke ludzi, ktorzy umierali.

Jak pracowalem w szpitalu, to umieralo duzo ludzi na serce. Nawet mlodzi ludzie. Nie wiem, na medycynie nie znamem sie specjalnie, ale to chyba byly zawały: dusznosc, bole straszne i potem zgon. W ogole tamten teren nie sprzyjal ludziom chorym na serce. Natomiast byl bardzo dobry dla ludzi chorych na pluca. Tam nikt na pluca nie umarl. Raczej wracali zdrowi.

W koncu na ten punkt przyslali wolnego, felczera i ja wtenczas poszedlem pracowac do kopalni. Pracowalem na przodku jako ladowacz, taka lopata - 25 kilogramow wegla na raz wchodzilo.

- Zapadnaja to byla podziemna kopalnia, tak?

Zapadnaja tak, ale w niej w glab gory wjezdziel sie. Z otwartego terenu wagoniki wjezdziel w korytarze.

Poklady wegla mialy dwanaście metrów. To byl pierwszej jakosci wegciel, antracyt. A stojki, tzn. stemple nie siegaly. W zasadzie wegciel powinno sie wybierac od kamienia do kamienia, cala ta zyle, ten poklad, wtedy jest bezpiecznie, bo kamien jest twardy. Jesli te stemple mialy 8 metrów, to juz byly dlugie, ale i tak stemplowali wegciel jeszcze.

Ponieważ tam jest wieczna zmarzlina - w kopalni zawsze było 6-7 stopni mrozu, latem i zimą. Pracowało się w fufajach, to były zimne kopalnie - to i węgiel jest zmarznięty, ma w sobie wilgoć. I jak podłączali powietrze do kopalni, to tam się ocieplało, poza tym ludzie chodzili, oddychali.

Później pracowałem jako kontroler: liczyłem wysyłane wagony, przeglądałem węgiel (był sortowany, kamień musiał być odrzucany).

- Czy pamięta Pan jakichś Polaków?

Z Polaków był ksiądz Jan Ciszek.

- Czy organizował jakieś życie religijne?

Tak, tak. Przychodził czasami do baraku, w małym gronie sobie siadaliśmy, kieliszeczek, kawałek chlebka, tam się modliliśmy.

- W ukryciu?

W ukryciu, oczywiście.

- Spowiadał?

Spowiadał też.

- Dużo osób przystępowało do spowiedzi?

To nie było oficjalnie. Ja się spowiadałem u księdza kilkakrotnie.

- Czy był jeszcze jakiś inny ksiądz?

Ja tylko tego księdza pamiętam, zresztą z nim razem później w 1948 roku przeszliśmy do zakładów.

Pracował bardzo ciężko, cały czas pracował na tych ogólnych robotach.

- Jak on sobie radził? Przecież na tych ogólnych robotach było najgorzej?

Jemu zawsze trochę pomagali. Byli Polacy, którzy pracowali na kuchni bądź w piekarni, czy tak jak ja pracowałem w szpitalu, też miałem tę możliwość.

Znałem tam jeszcze dwóch Polaków, ale nie pamiętam ich nazwiska. Dość blisko z nimi żyłem. Jeden był *dniewałnym* w baraku. Oni nazwali takich *pridurkami*, tzn. ludźmi, którzy mieli jakieś lepsze funkcje. *Pridurki* mieli oddzielny barak. On był tym *dniewałnym* i miał duże pozostałości z jedzenia. Nas w pierwszych latach odżywiali proszkiem jajecznym i amerykańskim mlekiem skondensowanym. Nie odżywiali tym stale,

ale od czasu do czasu to się trafiało.

Ostatnia moja praca na Zapadnej to była praca w klubie obozowym. Ponieważ ja maluję, malowałem te wszystkie plakaty, którymi obozy były oblepione, tą propagandą (szybko poznałem język rosyjski i to dość dobrze, nie sprawiał mi trudności). Sam jeden odnowiłem cały ten klub łącznie z malowidłami na suficie. To było coś niesamowitego. Takie zacięcie miałem artystyczne, trochę tańczyłem, trochę spiewałem. To mi pozwalało przeżyć.

Miałem to wielkie szczęście, że zawsze potrafiłem wszystko zrobić. Nigdy się nie załamalem, zawsze wierzyłem, że przyjdzie czas i mimo wszystko wrócę do Polski. Miałem takiego kolegę, jak pracowałem w szpitalu, z Wileńszczyzny, kawał chłopca - i on się strasznie załamał. Nie pamiętam nazwiska. Był ze starszym bratem, brat zginął w kopalni, pod obwałem. A ten chłopak umarł mi na rękach. Starszy ode mnie, przychodził ciągle do mnie na rozmowy, a później zachorował. Zachorował na serce, strasznie się męczył, i umarł. Nie wytrzymał psychicznie.

Praca w klubie to była moja ostatnia praca. Stamtąd w 1958 roku oddzielili wszystkich politycznych do speclagrów. Wtedy nas sprowadzili z Zapadnej na dół, na Piąte łag-oddzielenie. To było budownictwo, tzw. *kirpicznyj завод*, cegielnia, ceramika i budownictwo samego miasta. Tam spotkałem się z Żurańszczakiem [Tadeusz Żurański].

Jakiś czas pracowałem w budownictwie na tych robotach ogólnych, właśnie z księdzem Ciszkiem, na kotłowanach, bo to była najgorsza robota, a jednocześnie było trochę cieplej chyba, bo kopało się dół i siedziało w tym dole. Tą wieczną zmarzlinę dłubało się młotkami pneumatycznymi i kilofami, po 20 metrów, z półki na półkę ziemię się wywalało. To była ciężka robota, ale że tak powiem: "dobrze płatna". Tam się wyrabiało "*pajok plus trzy*".

Normy były wszędzie w obozach jednakowe:

- *garantinnyj* (zagwarantowany), niżej niego nie można było dostać: rano 200 gram kaszy i *kipiatok* tzn. woda na herbatę, cukru chyba 10 dkg i 400 gram chleba na cały dzień;
- "plus jeden", to już był lepszy: pół litra zupy w dzień,

200 gram kaszy, jakaś zapiekanka z kaszy czy z czegoś i 600 gram chleba.

- "plus dwa": 500 gram zupy, 400 gram kaszy, zapiekanka i 600 gram chleba.

- "plus trzy": 900 gram chleba, pół litra zupy, 200 gram kaszy, jakiś śledź, jakaś zapiekanka z kaszy, cukru miarka (największa miarka - mogło być ze trzy łyżeczki od herbaty).

O tym, jaki komu *pajok* się należał decydował brygadzysta. On rozdzielał w zależności od pracy. *Garantiny* dostawali raczej ci, którzy nie chodzili do pracy: chorzy i *aktirowani*, czyli inwalidzi. Ten, który poszedł do pracy, to najmniej dostał "plus jeden". "Plus trzy" to była racja bezpieczna, człowiek z głodu nie umarł.

- I na tych *kottowanach* dostawało się plus trzy?

Tak, na *kottowanach* się zarabiało. Ten mój ksiądz zasuwał twardo, równo, dostawał też i "plus dwa", i "plus trzy".

- Czy on nie miał momentu załamania?

Nie, wręcz odwrotnie - on wszystkich podtrzymywał na duchu.

- Czy miał duży wpływ na Polaków?

Sądzę, że tak. Zresztą to było widoczne, ja osobiscie bardzo go lubiłem. Napisał książkę, przeżył wszystko: i ten bunt, i wszystko. Bo on chyba, jak od kolegów się dowiadywałem, w 1956 został dopiero zwolniony. Dostał 15 lat więzienia, jego zaliczyli jako szpiega. Przyjechał do rodziny swojej na Ukrainie, na Polskiej Ukrainie i tam go zastała wojna w 1939 roku. Tam go aresztowali, a ponieważ miał obywatelstwo amerykańskie, w Ameryce wykładał na uniwersytecie w Nowym Jorku czy coś takiego - - aresztowali go i jako Amerykanin dostał paragraf 6, tzn. szpiegostwo, i 15 lat obozu pracy. W taki sposób znalazł się w Norylsku.

- Czy był uznawany za Polaka?

Oczywiście, był w gronie nas wszystkich, po prostu czuł się Polakiem. I przez wszystkich był uznawany za Polaka. Nie wiem, przez władze może był uznawany jako Amerykanin.

- A czy poza krąg polski jego rola wykroczała?

Nie, raczej nie, trzymał się w naszym gronie Polaków.

- Długo Pan na tych *kottowanach* pracował?

Długo nie, ponieważ Tadeusz Żurański pracował wtedy na tym *kirpicznym zawodzie* i miał kontakt z naczelnikiem tego *zawodu*. To był Niemiec, ale już zwolniony, inżynier. On z nim dobrze żył i załatwił mi tę pracę, przeniesienie do tego zakładu. Tam do końca swojego wyroku pracowałem już razem z nim.

- Do końca wyroku, tzn. do 53 roku?

Do 53 roku. To nie był koniec wyroku - jeszcze brakowało roku. Potem przez cały czas pracowałem jako palacz. Był krótki okres, że brygadzysta zrobił mnie takim *dniewalnym* w baraku, nie chodziłem do pracy, tylko byłem w baraku. To był niedługi okres, potem znów pracowałem na *kirpicznym*.

Co jeszcze o Piątce mogę powiedzieć? Praca była ciężka, ale w ciepłe - jako palacz dostawałem najwyższe odżywienie: "plus dwa", "plus trzy". To 900 gram chleba to było prawie zawsze. Jeszcze dodatkowo dorabiałem swoim malarstwem. Malowałem to w piekarni, to na kuchni, i zawsze dostawałem "bokami" więcej żarcia.

- Malował Pan portrety, czy obrazki?

Ci wolni kochali się w takich "Jeleń na rykowisku", coś takiego. Wieszali to potem nad łózkami. Przynosili to kawałek masła, to spirytusu ćwiartkę. W piekarni chleb miałem, na kuchni jakiejś kaszy się dostawało. Oczywiście wszystko, co robiłem, robiłem za jedzenie, za nic więcej.

- Czy była w 1952 roku bądź kiedy indziej fala morderstw na donosicielach?

Były. Wyroki wykonywali raczej Ukraińcy i oni prowadzili tą całą akcję. Między innymi zginął jeden z naszych Polaków, niejaki Wrona. Był strażakiem i podobno był donosicielem. Dostał siekierą w łeb. Tak się jego życie skończyło.

Ukraińcy mordowali nawet swoich. Byłem świadkiem jednego morderstwa w nocy, wtedy byłem właśnie *dniewalnym*. Przyszło w nocy trzech do baraku i zadźgali jednego przez koc. Oczywiście ich znałem.

- Widać było ich twarze, nie byli zamaskowani?

Nie, normalnie weszli, ale spróbowałby Pan coś powiedzieć... Nikt w życiu by nie powiedział.

- I zniknęli, tak?

Wyszli i po prostu byli, żyli. Ja byłem nawet wzywany do śledczego w tej sprawie. Oczywiście nic nie powiedziałem.

- Czy to, że Ukraińcy zabili Wronę, spowodowało jakiś konflikt polsko-ukraiński?

Nie.

- To było aprobowane przez Polaków?

To było raczej aprobowane. Tzn. Wrona jako taki to nie był typ, który przyjął się w towarzystwie, w naszym gronie.

- Czy on czynił próby znalezienia się w środowisku?

Znaliśmy się - przychodził, rozmawiał, starał się, ale to nie była jakaś wielka przyjaźń. Najwięcej mógłby o tym Piotrek Karpowicz powiedzieć. Jest teraz profesorem w Gdańsku. On o Wronie opowie więcej, dlatego, że też był strażakiem. Ale to był nasz chłopak, idealny facet, bardzo dobry, taki przyjaciel, z którym myśmy żyli normalnie.

- Czy to, że był strażakiem, stawiło go też w jakimś złym świetle?

Nie, nie.

- Sam fakt bycia strażakiem nie był zły?

To było po prostu szczęście - czy pracował Pan na kuchni czy gdzie, to było szczęście danego osobnika.

- Czy Wrona jakoś Wam pomagał?

Wrona nie, poza tym my tam raczej nie potrzebowaliśmy wielkiej pomocy, nikt z nas. Bo tam jakoś się żyło. Tak, jak ja - dorabiałem, poza tym trochę byłem znany, tańczyłem w zespole obozowym na scenie.

- Duży to był zespół?

Nie, to nie był wielki zespół artystyczny, ale mieliśmy swoją orkiestrę, mieliśmy zespół taneczny, chór. Były wyświetlane filmy. Jak potrzebne było kółko dramatyczne, to my w tym kółku dramatycznym byliśmy.

- A jakiś spektakl pokazaliście, były przygotowane?

"Rozmary" pamiętam, ale to było na Zapadnej jeszcze. Reżyserem był Rosjanin. "Rozmary" z tego filmu, może Pan sobie przypomina - miłość kanadyjskiego policjanta do jakiejś aktorki. W Piątym to jakąś sztukę rąbnęli od czasu do czasu, albo były tzw. koncerty, orkiestra, tańce, recytacje, solowe śpiewy. Mieliśmy Polaka, operowego śpiewaka: Władek Malec. On

teraz się Malczewski nazywa. Też razem ze mną był w tym zespole.

- Czy ktoś jeszcze tam był z Polaków?

Z Polaków on i ja tylko.

- A sztuki jakie były wystawiane?

Raczej lekkie... Czechowa pamiętam, chyba dwie jego sztuki wystawialiśmy.

- "Wiśniowy sad"?

Dokładnie nie pamiętam. Chyba ma Pan rację: "Wiśniowy sad" i chyba jeszcze jakiś urywek komedii Czechowa.

A potem - do roboty. Prace były ciężkie, jak się pracowało na ogólnych robotach, co tu dużo mówić. Nikt tam z głodu nie umarł. Na Zapadnej było dużo przypadków śmierci takiej albo z wyczerpania. Może to był taki okres tych pierwszych lat, niechęć do pracy?... Pili sól, potem dostawali opuchlizny, umierali na nerki...

- Pili sól? Po co?

Po to, żeby nie pójść do pracy trzeba było stracić zdrowie. Żeby stracić zdrowie, trzeba było coś zrobić... Jednym z takich sposobów...

- Jakiś kwas robiono z soli?

Rozpuszczali sól w wodzie i pili ją. Po prostu nerki wysiadały: opuchlizna i umierali. Oni uważali, że pochorują tylko jakiś czas, a potem będzie dobrze. Jak ich ze szpitala wypisywali, dostawali *pajok garantinnnyj*, no a na tym to można było zdechnąć. Polaków przy tym nie widziałem, ale widziałem innych: przeważnie robili to Rumuni. Rosjanie, ci ze wschodu - chodzili po śmietnikach, wybierali różne ości zjadali. Nawet z tyłu ubikacji chodzili, tam gdzie się to wszystko wylewało.

- Czy oprócz tego jednego Wilnianina, który się załamał, były przypadki, że ktoś z Polaków tracił nadzieję?

Tak. Był jeszcze jeden Polak, na Zapadnej, który załamał się. Pił też sól, też umarł.

- Nie pamięta Pan, skąd on pochodził, czym się zajmował na wolności?

Pochodził chyba z Wołkowyska.

- A jaki miał fach?

Był inwalidą. Nigdzie nie chciał pracować, wszystko robił, żeby nie pracować i to go doprowadziło do takiego stanu. Odważnym szczęście sprzyja, chyba to jest prawda.

- Czy oprócz Wrony był przypadek, że kogoś z Polaków podejrzewano o donosicielstwo?

Nie słyszałem. Z Polaków raczej nie. Poza tym z Ukraińcami nam się bardzo dobrze żyło. Ja z nimi żyłem bardzo dobrze. Śpiewaliśmy nieraz razem. Znałem paru Ukraińców, którzy tęsknili do Polski. Życie by oddali, a przecież wiemy, jak to wyglądało kiedyś z nimi, jak oni się z nami rozprawiali kiedyś. Ale w biedzie widocznie jakoś to wszystko było możliwe. Znałem tam kilku Ukraińców, którzy ze mną rozmawiali po polsku.

W kółku artystycznym był baletmistrz - prowadził nasz zespół, uczył klasycznego tańca. Sławny, bardzo sławny baletmistrz opery moskiewskiej. Starszy facet, nie wiem, jak się nazywał, wiem że dostał 15 lat, oczywiście jako polityczny. On z nas tam poty wyciskał.

- Czy można powiedzieć, że w Piątym była zgromadzona taka "śmietanka" towarzyska?

Było dużo inteligencji - niemieckiej, ukraińskiej, polskiej. Rozwijało się życie kulturalne.

- Czy były prowadzone jakieś wykłady, szkolnictwo obozowe?

Nie, tego nie było. Nie przypominam sobie.

- Czy spośród Polaków byli tam jacyś naukowcy?

Nie znałem takich. Wiem, że jakiś profesor był z nami, ale żeby mnie zabito, to nie przypomnę sobie jego nazwiska. Później znaleźliśmy jakichś oficerów, nazwisko jednego pamiętam - major Piotrowski.

Obok naszego obozu był obóz kobiet, też politycznych. Ciekawe było przerzucanie kamieni z listami, w ten sposób mieliśmy z nimi kontakt. Prawdopodobnie - jak ja sobie przypominam - to powstanie, bunt rozpoczął się po takim właśnie przerzucaniu: żołnierz strzelił i postrzelił jakiegoś Ukraińca. Wtedy ja wyleciałem z baraku, pamiętam... Był jakiś strzał, zaczęli krzyczeć "na wyszki, na wyszki", tak się zaczęło.

- Momentalnie?

Tumult, to momentalnie było.

- Ale musiał jakos narastać nastrój, musiały być sprzyjające warunki, żeby ktoś dał hasło "na wyszki"?

Nastrój był, to rozumiałe. Ale według mnie my Polacy nie myśleliśmy o tym żeby stworzyć jakiś... żeby coś wymusić siłą. Zresztą nie było sensu - to były już lata, w których większość nas Polaków kończyła wyroki. To byłby bezsens powodować jakieś zamieszki.

Te zamieszki spowodowali Ukraińcy, a ponieważ Ukraińcy mieli dość duże wyroki, więc się specjalnie nie przejmowali. A ludzie według mnie musieli już być doprowadzeni do stanu jakiejś rezygnacji....

- Desperacja - czy to było odczuwalne?

...desperacji. Spowodować wtedy taki bunt... Wtedy ten totalitaryzm był mocny. To było po wojmie, oni byli zwycięzcami, nikogo się nie bali, niczego, mordowali oficjalnie ludzi. Chodziły słuchy, że gdzieś koło ujścia Jenisieju zatopili barki z więźniami. Słyszałem o tym w Norylsku.

- W którym roku rozeszły się pogłoski na ten temat?

Chyba jak myśmy tam przyjechali, około 1946. Były takie pogłoski, że gdzieś wywieźli: czy to na jakieś jeziora, czy ujście? Już nie pamiętam.

- Ale w okolicy Norylska?

Gdzieś w tamtym rejonie.

- Wśród Polaków nie było nastroju desperacji, tego, że "coś trzeba zrobić"? Raczej czekaliście na koniec wyroków?

Tak, ale potem nas poniosło oczywiście.

- A czy w ogóle jakaś forma konspiracji w "Piątce" przed strajkami istniała? samopomoc?

Według mnie nie było takiej zorganizowanej grupy. Jeśli chodzi o Polaków, to ja zaliczałem się do tych, którzy raczej trzymali się kupy, do tego rdzenia: Karpowicz, Zbyszek [Żorański]. Nic u nas specjalnie takiego nie było. To znaczy myśmy się tylko "trzymali": pomagaliśmy wzajemnie, gdy była możliwość i konieczność. I wszystko, co wiedzieliśmy to to, że wcześniej czy później będziemy w kraju. To nas trzymało. Czytaliśmy dużo literatury, bo była udostępniona, oczywiście

w ruskim języku wszystko. Książek dużo czytaliśmy w wolnych dniach - jak choroba była czy coś.

- Czy atmosfera buntu powoli narastała, czy też bunt wybuchł zupełnie niespodziewanie?

Były wcześniej jakieś draki, pamiętam, z *nariadczykami*, potem naczelnika wzywali.

- Czy były jakieś odmowy pracy?

Nie powiem, żeby się coś specjalnie szykowało... To było spontanicznie, od razu. Powywieszaliśmy czarne chorągwie.

- A dla Pana czy to było wielkie zaskoczenie?

Dla mnie to było zaskoczenie, ja się raczej tego nie spodziewałem.

- Czy był moment, że zastanawiał się Pan, jak postąpić?

Włączyłem się tak jak wszyscy do tej akcji. Chodziliśmy, lataaliśmy, krzyczeliśmy pod tym biurem całym. Z naczelnikiem chcieliśmy rozmawiać, odmówiliśmy pójścia do roboty.

- A po tym, jak strażnik postrzelił tego Ukraińca i ktoś krzyknął "na wyszki" - doszło do tego ataku?

Nie, więźniowie zaczęli rzucać kamieniami, a oni zaczęli strzelać.

- Do ludzi czy w powietrze?

Chyba w powietrze. Nikt wtedy nie ucierpiał, nie przypominam sobie.

- Czy jakaś władza, przywódcy tego buntu byli widoczni?

Tak, później tak. Utworzył się komitet.

- Jawny?

Tak, jawny komitet. Miałem tam kolegę - Antek Raczkowski, bardzo bojowy chłopak z Wileńszczyzny, mój przyjaciel serdeczny. Mały chłopak, ale bardzo silny. Cieszył się autorytetem u wszystkich. Wiem, że on też był w tym Komitecie. Chyba był w tym sztabie całym.

- To był tam jedyny z Polaków?

Jedyny. Nie wiem, może ktoś tam jeszcze był, może ten Czesiek więcej by powiedział. Na temat buntu to na pewno Czesiek opowie dużo.

- Ile było osób w Komitecie?

Ale nie wiem bliżej, jak był zorganizowany ten komitet. Wiem, że była tam większość Ukraińców. Antek był na pewno, w

tym dniu, w którym myśmy wychodzili, Antek już był w komitecie. Chodził z takim kijem, wyglądało to dość śmiesznie, a jednocześnie tragicznie.

- Czy Antoni Raczkowski cieszył się największym autorytetem wśród Polaków, czy to był taki zawadiaka po prostu?

To był raczej zawadiaka taki. On do mnie ciągle przychodził. W jednym baraku byliśmy, w jednej brygadzie. Ciągle mnie zmuszał, żebym mu opowiadał wrażenia z powstania warszawskiego. Lubił słuchać. On był z Wileńszczyzny, młody chłopaczek, chyba nawet młodszy ode mnie o rok.

- Czy więźniowie się jakos uzbrajali, czy były nastroje bojowe?

Byli uzbrojeni wszyscy - siekiery nosili, łomy. W to byliśmy zaopatrzeni z tytułu pracy. Ten sprzęt był, może nie dla każdego starczyło...

- Czy była taka myśl, że wojsko użyje siły?

Oni ciągle... Wie pan - to nie był bunt zbrojny, to był strajk, tak bym to nazwał. Tam nikt nie miał chęci wyjść na te wyszki, na karabiny, na bagnety i bić się. To byłby poroniony pomysł. Po prostu więźniowie dociekali swoich praw na zasadzie strajkowania, zbuntowania się, niewyjścia do pracy. A tam to była sprawa poważna, w takich hutach piece, wszystko trzeba było utrzymać w gotowości przemysłowej. Jak zabrakło ludzi do pracy, to było poważne. Był jakiś kontyngent ludzi wolnych, którzy pracowali w tych zakładach, ale większość przecież stanowili więźniowie.

- Czy w Norylsku też pojawiły się flagi czarne?

Na domach nie, tylko w obozach. Ja widziałem na Kajerkanie i na Miedwieżce.

- Czy jakieś hasła też były, flagi narodowe?

Nie, tylko czarne flagi.

- Czy coś się zmieniło w obozie w stosunkach między więźniami w momencie wybuchu strajku? Czy były jakieś rozmowy między sobą??...

Nie wiem, to już nie przy mnie. My krótko tam byliśmy, tylko te pierwsze dni.

Domagali się rozmów z władzą: "Nie pójdziemy do pracy aż nie będzie kogoś z Moskwy". Domagali się *zaczotów* tak

zwanych, czyli naliczeń, zmniejszenia wyroków z tytułu dobrej pracy. Płacenia za pracę, bo nam nie płacili. I jeszcze coś takiego było. W każdym bądź razie głównym zadaniem tej grupy zbuntowanych więźniów było rozmawianie z kimś więcej, niż z obozowym *naczelstwem*.

- Czy ksiądz Ciszek był aktywny w czasie buntu?

Wątpię, czy był. To był człowiek bardzo taki spokojny, zrównoważony. On duchowo mógł jakoś oddziaływać na swoich współrodaków.

- Czy w czasie buntu władza obozowa, ten komitet, powołał jakieś instytucje do pilnowania porządku w obozie: sądy, policję? Jak wyglądała w ogóle organizacja życia?

Wiem, że wszystko przebiegało normalnie. Zaopatrzenie dostawialiśmy takie, jak było, kuchnia i piekarnia pracowały normalnie.

- Ale zaopatrzenie było z zewnątrz?

Zaopatrzenie było z zewnątrz.

- Magazynów żadnych nie opanowaliście? Nie było ich w obozie?

Tam nie było takich magazynów, które by coś dały. Jeśli były, to tylko przy kuchni i przy piekarni: mąka. Przy kuchni były zmarznięte kartofle. Bo tam zawsze były mrożone kartofle.

- I nie było żadnych zadrażeń, że ktoś chciał więcej? Wszystko było tak jak zwykle?

Nie było normalnie - nie wychodziliśmy do pracy, więc dawali tylko pół litra zupy i 400 gram chleba. Ten *garantinnyj*.

Na drugi czy trzeci dzień po tej całej drace zaczęli przez głośniki, przez megafony w barakach wyczytywać nazwiska. Nazwiska ludzi, którzy mają się z rzeczami, z *wieszciami*, jak to oni nazywali, stawić się pod bramą obozową. Mówili, że *odjazd na rodzinu*, że "zostaną zwolnieni". My jeszcze tacy nieufni - nie chcieliśmy w ogóle iść. To był u nas okres takiego wahania: uwierzyć czy nie uwierzyć?...

- Czy była jakaś rozmowa, jakaś narada wśród was, co robić? Ile było mniej więcej osób?

Dokładnie nie pamiętam, około 300. Nie tylko Polacy - byli Węgrzy, Czesi, Rumuni.

- Obcokrajowcy w każdym razie?

Raczej tylko obcokrajowcy.

- Zastanawialiście się co, dalej robić?

Zastanawialiśmy się, czy iść. Nie było odważnych. Potem jeden, drugi poszedł. Ci, którzy nie byli wzywani radzili nam, żeby wziąć rzeczy.

- Konkretne osoby wyczytywano po nazwiskach?

Po nazwisku. Później nas sprawdzali oczywiście, i potem stamtąd wyprowadzili. To było około 200-300 osób.

- Jaki był do was stosunek tych, których nie wyczytano, tych z większymi wyrokami? Była wrogość?

Raczej nie. Ja nie odczułem żadnej wrogości.

- Czy namawiano was do pozostania w obozie?

Raczej nie. Ksiądz Ciszek bezwzględnie był za tym, żebyśmy wyszli. Byli też tacy, którzy mówili:

- Oni was załatwią teraz!...

Rzeczywiście decyzja była dość odważna, bo nie wiadomo było, czy idziemy na gorsze, czy na lepsze. Sytuacja w obozie była dość napięta, byliśmy zbuntowani, byliśmy buntownikami...

Jak nas już odprowadzili - na górze był taki mały obóz, gdzie z różnych obozów odsyłali tych, którzy z Norylska w tym czasie mieli być odesłani.

- Czy z "Piątki" widać było ten obóz?

Z tego obozu, z góry lepiej było widać obóz Piąty. Widać było i inne obozy, widać było czarne flagi. Z lewej strony byli katorżnicy, oni też flagi czarne powywieszali.

- W "Piątce" też były czarne flagi?

Tak. Później na Kajerkanie widziałem flagi czarne.

- A katorżnicy w jakim byli obozie? Czy miał jakiś numer, nazwę?

Chyba też miał numer. Nie pamiętam jaki. Wiem, że Siódemka to był właśnie Kajerkan, u nas była Piątka, a Szóstka to był obóz kobiecy. Dalej byli katorżnicy.

- Czy katorżnicy byli koło fabryki numer 25? Miała biały komin, zamknięte budynki?

Tego nie wiem. Z wielkich zakładów - po prawej stronie był Miedstroj i Miedzawod, czyli huta miedzi. Wielka budowla,

rzucała się mocno w oczy, jak się patrzyło z Piątki. Odkrywkową kopalnię niklu widać było z daleka w górach. Ta góra cała aż lśniła w słońcu, taki bogaty procent niklu był w rudzie.

- Czy ta góra miała jakąś nazwę?

Mówili "Niklowy".

- Którego dnia od chwili wybuchu zdecydował się Pan wyjść z obozu, z "Piątki"?

Wtedy, kiedy mnie zawołano, wyczytano, ale tego dnia nie wyszliśmy, dopiero na następny dzień.

- Ile to mniej więcej było dni od wybuchu buntu?

Nie wiem, czy to nie był trzeci czy czwarty dzień.

- Kogoś jeszcze z Panem wyczytano?

Zurańskiego Tadka, myśmy razem wyszli. Później spotkaliśmy się z tym małym Wojtkiem Lewandowskim.

- Czy ten mały obóz, do którego was odprowadzono, miał jakąś nazwę, numer?

Miał jakąś nazwę... To był ciekawy obóz - nawet trochę zieleni tam było, drzewek sadzonych, i te baraki... Obóz bardziej zadbany. Nie wiem, kto tam wcześniej był. Chłopaki też nie wiedzą.

Jeśli chodzi o organizację tych obozów, to na pewno informacje mają ci, którzy tam wyszli na wolność. Są wśród nas koledzy, którzy wyszli na wolność, tam jeszcze jakiś czas byli i dopiero w 1956 roku repatriowali się tu.

- Tylko problem w tym, że wtedy dużo obozów polikwidowano.

O to chodzi - już zaczęli likwidować obozy. Podobno zaraz po tym buncie zaczęli likwidować obozy.

- Dużo było ludzi w tym mniejszym obozie?

Chyba około 1000. Tam zganiali te wszystkie narodowości, które miały wyjechać.

- Ile czasu byliście w tym obozie?

Parę dni.

- A w "Piątym" cały czas trwał bunt?

Tam chyba słyszeliśmy strzały. Musieliśmy już wtedy być dłuższy czas w w tym nowym obozie... Bo później niektóre obozy wcześniej poddały się, a ostatnim była Piątka. Tu się zaczęło i tu się skończyło, i tu była ta pacyfikacja, o

której ja wiem. Oddziały weszły z bronią, tyraliera... Ja tego nie widziałem, wiem z rozmów i słychać było strzały.

- Czy to się w nocy odbyło?

To chyba było w dzień.

- Nie patrzyliście, skąd te strzały i dlaczego?

Głucha cisza wszędzie była. Żadnych informacji, nic do nas nie docierało. Byliśmy zamknięci, pilnowani. Na noc zamykali nas w barakach.

W dzień, pamiętam, nawet się opalaliśmy. Bo było ciepło przecież, lato. To był chyba czerwiec, początek lata. W każdym razie rozpoczęła się nawigacja.

* * *

- Czy słyszał Pan w Norylsku o Piotrze Sikorskim?

Sikorski to był oficer. Ten Sikorski którego my poznaliśmy. Poznaliśmy go później, jak wracaliśmy. Wracał z nami do Polski, mieszkał potem w Aninie. Już nie żyje. Myśmy z nim utrzymywali kontakt jakiś czas.

Wracał z Norylska. To był oficer, siedział dłużej od nas. Facet był wykształcony.

- On był w "Piątce"?

Czy on nie był z nami w Piątce? Może się i nie zetknęliśmy, tam parę tysięcy ludzi było.

- Czy on próbował uciekać z Norylska?

Chyba nie, rozmawialibyśmy na ten temat ze sobą.

- A czy o Henryku Wysockim słyszał Pan w Norylsku?

Nie przypominam sobie Wysockiego.

- A czy kojarzy Pan Józefa Dąbrowskiego?

Dąbrowszczak - chyba tam był taki... Nie chciałbym robić jakiejś afery, ale coś mi tam po mózgu chodzi.

- Czy zna Pan takie nazwisko "Szumski"?

O tak! Henryk Szumski, znałem go.

- A Sietko Sietkiewicz?

Nie kojarzę. Wiele nazwisk mi się zatarło w pamięci. Tych, z którymi bardzo blisko żyłem, już raczej wymieniłem.

- Czy Pan pamięta Japończyków?

Chińczyków pamiętam. Japończycy byli, bo lekarz chyba był

Japończykiem też. Ale żadnego konkretnego człowieka nie pamiętam. Lekarzem też tam był Willi. To był Niemiec, bardzo równy facet. Nazwiska nie pamiętam.

- A czy słyszał Pan pogłoski o oficerach polskich, którzy byli w Norylsku?

Nie słyszałem.

- Czy zdarzały się ucieczki z Norylska?

Ja słyszałem o ucieczce 11 ludzi, jeszcze jak byłem na Zapadnej. Później słyszałem o ucieczce trzech ludzi. Żadna z tych ucieczek się nie udała. Tych jedenastu podobno wystrzelali, całą grupę. Z tych trzech jeden zdaje się zamarzył, a dwóch z powrotem przywieźli. Ale to słyszałem od kogoś. Mówiono o tym w obozie. W każdym bądź razie coś o ucieczkach mówili, widocznie były jakieś ucieczki. Ale gdzie? 2400 km było do Krasnojarska - najpierw przez tundrę potem przez tajgę... Dzikie zwierzęta przecież, wilki, niedźwiedzie, błoto, wszystko było, co tylko człowiek chciał.

- Czy słyszał Pan o takim miejscu, obozie - "Kopiec"?

Nie. Obozy, jakie mnie się obijały o uszy, to: Zapadnaja, Miedwieżka, Kajerkan, no i później Piątka, Szóstka kobieca i obóz katorżników.

- Czy o "fabryce makaronu" Pan słyszał w Norylsku?

Nie, Nie słyszałem.

- Szły tam olbrzymie transporty kolejowe. Wszystko mieściło się pod ziemią.

Na pewno to był punkt strategiczny. Długie lata Norylsk nie był miastem oficjalnie podanym do wiadomości geograficznej. Nie było go na mapie. Dopiero po jakimś czasie, jak ja już przyjechałem do Polski, to Norylsk się pokazał. Stamtąd nie zwalniali na *matierik* - jak wyszedłeś z obozu, to podpisywałeś umowę na 10 lat pobytu, pobytu jako wolny człowiek. Tak było za Stalina, bo potem to się wszystko zmieniło. Ale wtedy wiadomo było, że jak wyjdiesz, to będziesz tam musiał siedzieć i pracować. Zwolnili nawet niedaleko od obozu budowali tzw. *bałki*, budki, w których mieszkali. Tam się żenili, chodzili do pracy.

- A czy słyszał Pan o buncie oficerów estońskich, jeszcze przed strajkami?

Nie słyszałem. A był taki?

- Podobno się zbuntowali - zamorzono ich głodem, a potem wystrzelano, w jakimś 50-51 roku.

Coś tam z Estończykami takiego było...

- Podobno też rozstrzelano Estończyków, Łotyszy gdzieś za Norylskiem w latach 40-tych...

Ale to sprawa poważna i trzeba mieć jakieś dowody, wiedzieć. To za poważne są sprawy.

* * *

Później zawieźli nas pociągiem do Dudzinki. Cały czas nie mieliśmy do nich zaufania, dokąd nas wiozą. Niby oni nam mówili:

- Pojedziecie do kraju.

... ale znając ich, nie wierzyliśmy im. Później władowali nas na statek i Jenisiejem płyneliśmy 10 dni z Dudzinki do Krasnojarska.

Był taki incydent: mieliśmy trochę pieniędzy, na statku był bufet, to sobie kupowaliśmy tam coś. I mieliśmy taki chleb stary. Podpływały do nas na łódkach głodne dzieci: to jagody, to śmietanę, to co mieli, natomiast oni prosili chleba i cukru. Taki fakt zatrzymał mi się w pamięci: dwóch takich chłopców podpłynęło:

- Dziadzia, chleba, dziadzia, sachu...

Tak oni krzyczeli. Podpłynęli pod statek i tam koledzy im rzucali ten stary chleb. To były takie duże, stare chleby, myśmy ich już nie jedli. Niedobry zresztą był ten chleb.

Ja byłem w kabinie, stałem przy okienku i patrzyłem - chleb nie trafił do łódki i i chłopak wyskoczył w ubraniu za tym chlebem. Ten chleb złapał. Pamiętam, jedną ręką go trzymał, a drugą rwał. Płynął do tej łódki, drugi chłopak już go zaczął wyciągać. I tu jeden z marynarzy złapał jakiś kawał żelaza i rąbnął tego chłopaka. W plecy widocznie trafił, bo ten chłopak z powrotem do wody... Ten drugi jakoś tak go wciągał, że on ten chleb zostawił. Jakoś tamtego jednak wyciągnął, i ten chleb, i odpłynął.

No i u nas wrzawa straszna powstała, Znow bunt, to już

Polacy zainicjowali. Wskoczyliśmy wszyscy na pokład. Chcieliśmy skakać, bo to było na dolnym pokładzie. Był u nas taki mocny Mikołaj, nie pamiętam jego nazwiska, wiem, że on chciał na nich skoczyć. Na tego marynarza, co rzucił. Trzymali go. Draka, szum, krzyk - kapitan przyleciał i jakoś to załagodził. Obiecał, że tamtego aresztują.

Czuło się w tej dalekiej Rosji warunki trudne: głód, nędzę było widać, że to wszystko bose, nie ubrane... Jak chłopak po bochenek chleba w ubraniu do wody skacze, to już coś o tym mówi.

Potem mieliśmy, już pod samą Moskwą też taki przykład. Śledzie się nam zaśmiardły czy były jakieś śmierdzące - nie chcieliśmy ich jeść. I ci biedni Moskwiczanie zaczęli przychodzić z wiaderkami i prosić, błagać... I im te ryby śmierdzące dawali, i oni brali. Myśmy nie chcieli jeść, a oni jedli. To też mówi o tym, jaka tam była bieda w 50-tych latach pod Moskwą.

Powrót to było jedno wielkie przeżycie dla nas wszystkich. Pamiętam, jak w obozie w Bełżcu siedzieliśmy po powrocie i przyjechał teatr z Lublina. Do "repatriantów", jak nas nazywali. Oni nam jakąś sztukę wystawili. Nie przypominam sobie, co to było. I później było przemówienie profesora, tego z Piątki. Dziękował im, no i oczywiście powiedział o naszym losie, o naszym szczęściu ogromnym, jakie nas spotkało. Podziękowanie i pożegnanie, wprost do łez. Oni płakali i my płakaliśmy wszyscy. Artyści na scenie bili brawo nam i my biliśmy brawo im. To był jeden ryk, właśnie po wystąpieniu tego profesora.

Chwilą nie do zapomnienia było też przekroczenie granicy. Była draka przed przekroczeniem granicy, w Brześciu nad Bugiem. Bili się tam z Ruskimi.

- Z bojcami?

Tak. Chcieli nas wystrzelać, ale oficerowie i kolejarze tam wpadli... Mieli nas wieczorem przekazywać na polską stronę, ale to się przedłużyło i pozostaliśmy na noc. Doszło do draki - ci ruscy *bojcy* przyszli do naszych kobiet i tam zaczęła się draka. My wszyscy wskoczyliśmy, oni do nas zaszurali, my za kamienie podkładowe...

- To się przy torach działo?

Tak, staliśmy na bocznicach, a obok stał *eszałon* radzieckich bojców. To nie był nasz konwój, tylko jakaś jednostka wojskowa.

Jakoś to załagodzono, wsadzili nas na pociągi i nad ranem przesłali. Pozamykali drzwi wszystkie, postawili straż i - przez Bug. Wszyscy śpiewaliśmy "Boże coś Polskę", wszyscy w płacz...

- Kiedy to było?

To był styczeń 1954 roku. W obozie w Bełżcu byłem do lutego. Tam też jeden koncert daliśmy. Coś trzeba było robić, tośmy się organizowali. Było trochę boksu, śpiewów, tańców, konkursy jakies urządzałyśmy.

* * *

spisał Stanisław Szydło
zredagował Tomasz Głęb